

1.

To, co mam do powiedzenia, zawdzięczać jedynie i wyłącznie Messiemu. Gdyby więc ten i ów czytelnik był na tyle uprzejmy, żeby mój zamiar zaaprobować, nie mogąc jednak pozbyć się wątpliwości, czy rzeczywiście wszystko to znajdzie u Messiego, czy też, że to ja układam do gry Messiego treść własną, mogę go zapewnić, że nie tylko ta odrobina, którą ja ukazać potrafię, ale nieskończenie więcej zawarte jest w grze Messiego; mogę go zapewnić, że ta myśl dodaje mi odwagi, aby poświęcić się wyjaśnieniom szczegółów jego sztuki.

2.

Na okładce lutowego „Time’a” widnieje twarz Leo Messiego, rozmiarów niemal naturalnych. Piłkarz patrzy wprost na nas. Twarz pokryta kilkudniowym zarostem, spojrzenie utkwione w punkt, surowe, władcze. Tytuł najważniejszego artykułu podany majuskulą, stosownie wytłuszczony: *KING LEO*. A pod nim, już nieco mniejszymi literami, *lead* z artykułu Bobby’ego Ghosha: „Lionel Messi jest najlepszym piłkarzem świata, a być może najlepszym piłkarzem wszech czasów. Dlaczego więc jego rodacy nie pokochają go?”. Pomińmy pytanie, które ma znaczenie lokalne, a skupmy się na zawartości początkowego stwierdzenia (a po części sugestii), których zasięg jest uniwersalny.

Messi – najlepszym w ostatnich latach piłkarzem świata? Jak się zdaje, nie jest to kwestia, która dzieliłaby przesadnie zawodników, fachowców i kibiców. Jeśli nawet zgoda nie zawsze jest jednomyślna (perturbacje ze Złotą Piłką w roku 2010), jeśli nawet ktoś złożył prywatną deklarację dozgonnej miłości do Cristiano Ronaldo, Diego Forlana czy Andresa Iniesty, to przyznać musi, że to wyróżnienie nie zostało przyznane Messiemu na wyrost. Istnieją wymierne kryteria: 127 goli w lidze, 17 goli w Pucharze Króla, 39 goli w Champions League (stan na 1.10.2011); istnieją empirycznie weryfikowalne sukcesy: mistrzostwo świata do lat 20., mistrzostwa z Barceloną w lidze hiszpańskiej, w Champions League, w Superpucharze Europy, Złota Piłka przyznana mu trzy razy z rzędu w plebiscycie FIFA – by wymienić ważniejsze tylko triumfy z ostatnich lat. To są fakty. Ale w ocenach piłkarskiej klasy warto zaufać też czynnikom mniej wymiernym: oczom, doświadczeniu i intuicji. Musi dawać do myślenia, że *opinio communis*, która zwyczajowo lekce sobie waży tabele, liczby i zestawienia, ufa raczej zmysłowi wzroku i zdrowemu rozsądkowi, od lat myśli dość podobnie: Leo Messi najlepszym piłkarzem jest. Tendencja wydaje się stała i podlega ledwie drobnym sezonowym wahaniom.

Dobrze: ale co zrobić z zasugerowaną przez autora (nieco asekuracyjnie), tezę: Leo Messi – najlepszym graczem wszech czasów. Hm... Co by to miało bliżej

DARIUSZ CZAJA

Lew i Pchła

Sztukmistrz z Rosario

znaczyć? Przy pomocy jakiego aparatu to zmierzyć? Jakie ponadhistoryczne kryteria zastosować? Czy w ogóle możliwe jest ich rozsądne sformułowanie? Czy możliwa jest powszechna zgoda w tak subiektywnej i uznaniowej kwestii? Zanim spróbujemy pochylić się nad tym skomplikowanym problemem z pogranicza aksjologii i epistemologii, spróbujmy najpierw zorientować się, z kim mamy tak naprawdę do czynienia. Postarajmy się – korzystając z fachowych komentarzy – nakreślić kilka kreskami piłkarski profil Lionela Messiego.

Wyjątkowość fenomenu pod nazwą „Messi” podkreślają wszyscy. Całe eskadry analityków pochylają się nad jego rozpracowaniem. Co szczególnie rzuca się w oczy, kiedy ogląda się grę Messiego? Najpierw może nadzwyczajna, jak na piłkarza, szybkość. Adrian Coria (obecnie trener Newell’s, gdzie debiutował Messi), wspomina, że kiedy się na niego patrzyło, zdawało się, że chłopak jest za mały, za kruchy na grę w piłkę: „Ale błyskawicznie zdawałeś sobie sprawę, że jest zupełnie inny, że jest fenomenem i że będzie zachwycał. Dlaczego? Bo był niesamowity, miał start do piłki, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem na boisku. To Formuła 1, Ferrari. Uprzedzał akcję, miał drybling, w starciu jeden na jeden był nie do przejścia. Kontrolował piłkę, zawsze na ziemi, zawsze przyklejoną do stopy. Zostawiał w tyle wszystkich większych od siebie, którzy nie mieli jeszcze rozwiniętej motoryki i koordynacji”. Messi zawsze robił na boisku różnicę. Coria mówi o nim: Gardel, a w Argentynie przyrównanie kogoś do Carlosa Gardela, twórcy nieśmiertelnych tang, to nie jest komplement, to konsekracja. Przypomnijmy, że mowa tu o chłopcu, który nie ma jeszcze lat 13!

O ponaddzwiękowych prędkościach rozwijanych przez Messiego na krótkich dystansach mówiło wielu. Pablo Zabaleta, kolega z boiska, dodaje do tego jeszcze przyrodzony dar swobodnego operowania piłką: „To perła. Posiada dar od Boga, który objawia się w sposobie, w jaki porusza się z piłką. Ogromne wrażenie robi na mnie łatwość, z jaką przemieszcza się z futbolówką z zawrotną prędkością. To niesamowite, co on potrafi robić, jak zdejmuję z siebie obrońców, jak piłka zawsze przykleja mu się do stopy”.

Rzeczywiście, można odnieść wrażenie, że Messi z piłką biegnie tak samo szybko, jak bez piłki, a kto wie, może nawet jeszcze szybciej. Nie ma może, jak Ronaldinho, ułańskiej fantazji sprzężonej z wypracowaną godzinami wirtuozerią (legendy krążą na temat treningów Brazylijczyka z własnym psem), za to podejmuje w ułamku sekundy niemal zawsze trafne decyzje, jego drybling nie ma baletowej lekkości, ale jest z reguły nieprawdopodobnie skuteczny. Argentyńczyk świetnie trzyma się na nogach, ma niski punkt zawieszenia, nie sposób go przewrócić. Messi biegnący z dwoma przeciwnikami na plecach to norma, a bywało, że i z trzema dawał sobie radę. Podkreśla się, że Messi dojrzał. Nie stara się już, jak bywało w młodości, za każdym razem przeprowadzać akcji z gatunku „klękajcie narody”, ale gra bardzo rozważnie i ekonomicznie. Jest urodzonym indywidualistą, potrafi sam rozstrzygnąć mecz, ale też znakomicie współpracuje z zespołem. Co ważne: waga meczu nie ma dla niego żadnego znaczenia. Leo wychodzi, żeby wygrywać. Nie ma żadnej boiskowej tremy, nie paraliżuje go stawka rozgrywki. W kluczowych momentach jest w stanie wziąć odpowiedzialność za wynik. Można nawet odnieść wrażenie, że ten nieśmiały i skromny poza boiskiem chłopak dopiero w trakcie meczu rozwija skrzydła. Dopiero wtedy uaktywnia drzemiącą w nim moc.

Pośród zagrań świetnych i jeszcze świetniejszych, pośród goli tylko zachwycających, ale też i takich, które zapierają zwyczajnie dech w piersiach, zdarzyła się Messiemu akcja będąca owocem czystego, skroplonego geniuszu. Jak w sztuce – arcydzieło to rzadki ptak. Santiago Bernabéu, 18 kwietnia 2007 roku, Barcelona podejmuje Getafe. Posłuchajmy fragmentu komentarza telewizyjnego:

„Piłka dla Football Club Barcelona.

Xavi...

Messi odbiera piłkę przejętą przez Paredesa.

Utrzymuje się przy niej, minął też Nacho.

Messi radzi sobie z Alexisem, dalej prowadzi piłkę.

W polu karnym... przecięcie.

Wydaje się, że piłka wyjdzie poza boisko...

Gol Messiego!

Co za gol!

Zostawił za sobą czterech piłkarzy Getafe i bramkarza.

Strzał prawą nogą. To niecodzienne u Messiego!

Proszę zapamiętać tego gola!

28 minuta i 30 sekunda pierwszej połowy.

Bez wątpienia, to może być gol sezonu...

Niesamowite. Wszyscy się śmieją i nie wiedzą, jak zareagować na ten pokaz prowadzenia piłki, szybkości, zwinności, dryblingu i wykończenia. To było naprawdę zachwycające...”

To Święta Narracja o Cudownym Zdarzeniu. Bo przecież nie był to tylko gol sezonu, ale jeden z najbardziej spektakularnych goli w historii piłki nożnej. Ję-

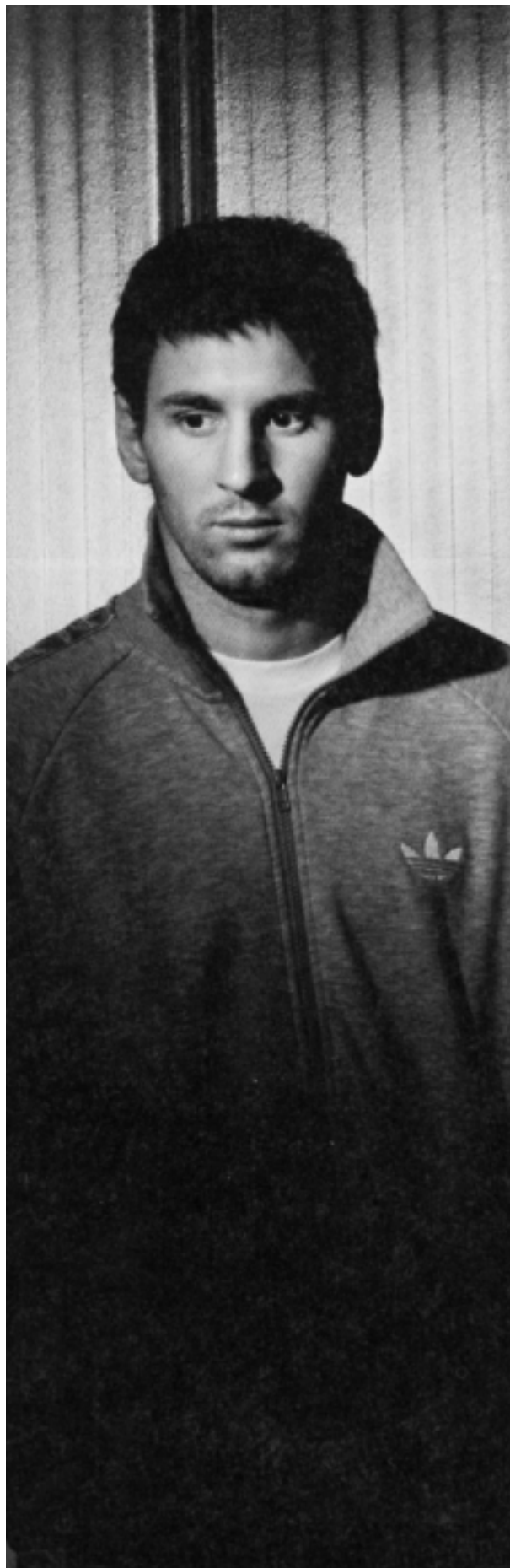
zyk próbuje tu sprostac Estetycznemu Absolutowi, mnoży wykrzykniki i superlatywy, ale finalnie zapada się w sobie, zostaje tylko podziw. Tę akcję śledzono tyśiące razy na You Tube, komentowano w prasie i prywatnych rozmowach bodaj jeszcze częściej. Z dwóch co najmniej powodów: fizycznej niemożliwości zdarzenia i nieuchronnej analogii z golem, jakiego Anglikom strzelił Maradona 22 czerwca 1986 roku na Estadio Azteca podczas meksykańskich mistrzostw świata. O syndromie Maradony jeszcze powiemy, ale teraz pocelebруем jeszcze przez chwilę ten cudowny moment: „To był najlepszy gol, jaki widziałem w życiu” (Deco), „Przyćmił nas wszystkich” (Jorquera), „Brakuje słów na opisanie tego gola. Patrząc na to z ławki, oniemiałem” (Güiza), „Stałem z otwartymi ustami” (Zambrotta). To Wyjątkowe Zdarzenie z meczu Barcy z Getafe ustanowiło świętą cezurę, sakralny punkt zero, od którego zaczyna się nowy etap w historii futbolu. To jest zacytn mirakularnych narracji, opowieści o naocznym spotkaniu twarzą w twarz z Niemożliwym. W ślad za tym epifanicznym zdarzeniem pojawia się oczywiście szaleństwo. To, co wypada poza granice rozumu, trzeba jakoś obłaskawić, nazwać, próbować chociaż zrozumieć. Na wielu arenach zaczyna toczyć się planetarna debata o wyższości gola Messiego nad golem Maradony (lub odwrotnie). Obydwa stronnictwa nie dają za wygraną, mierzą, liczą, porównują. Argumentują mniej lub bardziej przekonująco. Przeprowadza się ankiety i sondaże, sprawa jest poważna. W zależności od tytułu gazetowego szala przechyla się raz w jedną, raz w drugą stronę. Analogie między akcjami obydwu tytanów rzeczywiście są uderzające. Po raz pierwszy na taką skalę ujawnia się dylemat, który od tego momentu Leo Messi będzie musiał wciąż nosić z tyłu głowy: kto lepszy: – on czy Maradona? Czyja boskość bardziej boska: Diego „Ręki Boga” Maradony, czy Leo „Mesjasza” Messiego? Obaj bohaterowie podkreślają, że ich gole były inne i taktownie powstrzymują się od jednoznacznego werdyktu. Ale lud nie lubi niepewności, lud chce wiedzieć, jak jest naprawdę. W świecie zaburzonej taksonomii żyć nie sposób. Na szczycie estetycznego absolutu miejsce jest tylko dla jednego. To właśnie od tamtego momentu liczyć należy początek nieustających sporów o wyższość Messiego nad Maradoną (lub odwrotnie). Spór, jak się zdaje, racjonalnie rzecz ujmując, niekonkluzywny, ale objawiający *ad oculos* u biorących w nim udział głębokie pokłady nieprawdopodobnie silnych emocji. Ale nikt nigdy nie mówił, że piłka nożna to letnia gra.

Czy wydestylowane wyżej cechy kunsztu piłkarskiego Messiego dają pełny obraz argentyńskiego piłkarza? Mam poważne wątpliwości. Nie dlatego, że nie wskazują trafnie na jego widoczne gołym okiem atuty, ale dlatego, że dotyczą one – by tak rzec – tylko wymiaru rzemieślniczego gry Messiego. A przecież jest w jego sztuce (tak właśnie: sztuce!) piłkarskiej coś, co

wychodzi poza czysto techniczne umiejętności. Coś, co sprawia, że pośród tych, którzy osiągnęli piłkarski Parnas, a nie było tych herosów aż tak wielu – Puskas, di Stefano, Pelé, Cruyff, Maradona, ktoś jeszcze? – Messi zajmuje miejsce szczególne.

W opowieściach (obojętnie: opartych na faktach, czy jawnie apokryficznych) o gigantach futbolu, próżno chyba szukać wątku, który tak uporczywie, tak ostentacyjnie niemal, pojawia się wtedy, kiedy mowa o Leo Messim. To, nazywając rzecz wprost i po imieniu: dziecięca radość gry. To jest właśnie cecha szczególnie odróżniająca go od innych wielkich dla piłki nazwisk. Okoliczność niby drugorzędna, niby bez znaczenia, zdawać by się mogło słabo przekładająca się na wymierne efekty piłkarskie, ale skłonny jestem twierdzić, że to właśnie jest – obok niepoślednich rzemieślniczych sprawności – klucz do geniuszu Messiego. Powtarzają to do znudzenia wszyscy: dla Messiego sport jest wciąż zabawą, niepodobna nie dostrzec, że z gry w piłkę czerpie ogromną radość. Na wielkich boiskach świata zachowuje się tak, jak na prowincjonalnym boisku rodzinnego Rosario. Piłkę dalej trzyma krótko, odczuwa ekstatyczną radość z jej prowadzenia („Odnosi się wrażenie, że z piłką przy nodze jest szczęśliwy” – Jorge Valdano), z kiwania, mijania przeciwników, wreszcie z pakowania piłki do siatki. Gianluca Zambrotta, włoski obrońca, przez chwilę kolega Messiego z Barcelony, niesłyszący raczej z sentymentalnego podejścia do swojego zawodu, ujął to może najlepiej: „Dla niego nie ma żadnej różnicy między Camp Nou a piaszczystym boiskiem z jego dzielnicy. Dla niego są jednakowe. Nie czuje presji albo przynajmniej tak się wydaje. Liczy się to, by była piłka. Pod tym względem przypomina mi innych wielkich piłkarzy, których poznałem: kiedy widzą piłkę, zaczynają zachowywać się jak dzieci [podkr. DC], szczęśliwi, mając swoją ukochaną zabawkę. Już jej nie wypuszczą i nie pozwolą grać. Spróbuj zabrać Messiemu piłkę. Niemożliwe”. To prawda, przypadki odebrania piłki Messiemu przez przeciwnika odnotowuje chyba specjalna komisja, która – dodajmy – nie ma zbyt wiele pracy, tak rzadkie są to zdarzenia. Jeśli nawet jest trochę prawdy w twierdzeniu, że wszyscy wielcy piłkarze mają coś z dziecka, to Leo posiada tę cechę w stopniu najwyższym, w zintensyfikowanym ekstrakcie. I dodaje jeszcze Zambrotta coś równie ważnego: „On zawsze chce mieć futbolówkę, bo dzięki temu jest szczęśliwy i sprawia radość pozostałym”.

Ta ostatnia cecha gry Messiego (podkreślana także przez innych) dotyka ważnego komponentu jego rozumienia piłki. Jest nią czysta bezinteresowność. Owszem, w grze w piłkę chodzi o wynik, o strzelanie bramek, i Messi robi to z wielką ochotą, ale niepodobna nie zauważyć, że interesuje go w pilce także wymiar pragmatyczny. Rzec by można: sztuka dla sztuki. Wyniki, tytuły, puchary, trofea, – tak, to wszystko jest ja-



Leo Messi, „Time”, luty 2012. Fot. Joachim Ladefoged.

kość ważne, ale najważniejszy jest kolejny mecz, bo zawsze można w nim coś ciekawego pokazać, przeciwiczyć nowy schemat, przeprowadzić rajd, który przyćmi wszystko, co zdarzyło się wcześniej... Messi gra dla siebie (i dla drużyny), ale gra też wyraźnie dla oklaskujących go ludzi. To, co jemu sprawia nieopisaną radość, przenosi się także na trybuny, przed telewizory i prądem osmotycznego przenikania zaszczepia się w nas. Jak każdy prawdziwy artysta, w swoich najlepszych dziełach Messi stawia nas wobec granicy możliwego. Wciąż udowadnia, że ta granica jest ruchoma.

3.

Kunszt piłkarski Messiego opisuje się najczęściej za pomocą przymiotników poprzedzonych partykułą „nie”: niemożliwy, nieogarniony, niewiarygodny, niewyobrażalny, nieprawdopodobny, niespotykany. Jakby przez to zaprzeczenie chciano mocno usytuować jego grę po drugiej stronie zwyczajności, zobaczyć ją jako sztukę, która wykracza poza rutynowe granice. On sam zresztą jest modelową wręcz wiązką przeciwieństw. Kontrast między nikczemnością jego cielesnej postury a skalą jego piłkarskich umiejętności nie przestaje zdumiewać. To Deco miał powiedzieć, że natura zwariowała i umieściła w jednym wątłym ciele Leo umiejętności Ronaldo, Romario i Ronaldinho. To prawda, jednak fenomen Messiego nie polega na prostym kopiowaniu tego, co inni robią w stopniu wybitnym, ale na stworzeniu całkiem nowej jakości z elementów już istniejących. Wygląda to tak, jakby jego geniusz można było opisać tylko za pomocą figury jedności przeciwieństw. Z jednej strony Pchła (*La Pulga* – pseudonim Messiego), z drugiej – Lionel, Leo, Lew, Król Lew. Z jednej strony niedająca się ukryć cielesna małość, z drugiej – olśniewająca piłkarska wielkość.

Legenda Messiego uderzająco przypomina w pewnych punktach legendę Mozarta: mizerna postura, cudowne dziecko, rola ojca w rozwoju jego talentu, syndrom Piotrusia Pana...

Nie ma sensu ciągnąć nazbyt daleko i nazbyt konsekwentnie tych podobieństw, zresztą załamują się one w pewnym momencie dość łatwo (nie dość nigdy podkreślać mozartowskiej dwuznaczności, jasno-ciemnej dwuznaczności jego muzyki, tak często prześlepianej...). Nie ma też potrzeby konstruowania efekciarskich formuł, dla których wzoru dostarcza codziennie prasa sportowa (powiedzmy: „Messi – Mozart futbol”), bo są one i mylące, i nieodparcie pretensjonalne. Mozart pewnie by się nie obraził (Messi chyba tym bardziej), niemniej rzucone tu lekką ręką porównanie, choć atrakcyjne i poręczne, sprawia wrażenie zalatującego łatwizną pomieszania porządków. Pomijając już skandaliczny dla niektórych pomysł, by futbol żenić z muzyką, niskie z wysokim. Ale...

W tej, zarysowanej tu grubą kreską paraleli jest wszakże coś, co nie powinno nam umknąć. Kiedy mówię

Mozart, kiedy używam tego nazwiska, to nie odnoszę się przecież do historycznego Mozarta. Przywołuję raczej obraz z mitologii zbiorowej. Jego nazwisko traktuję raczej jako poręczną figurę myślową (skondensowany symboliczny emblemat), postępuję więc dokładnie tak, jak zrobiła to Nadieżda Mandelsztam w swoim błyskotliwym tekście poświęconym zagadkowej materii procesu twórczego. Komentując wnikliwie uwagi swojego męża poety na temat Mozarta i Salieriego, nie odnosi ich jedynie do muzyki, ale widzi w tych dwóch nazwiskach metaforyczne określenia dwóch stron procesu twórczego. Mozart – to intuicja i natchnienie. Salieri – to rzemiosło i praca. Przy czym, Mozart – artysta nie zawsze zostaje przeciwstawiony Salieriemu – rzemieślnikowi; Mandelsztam miał atencję dla nich obydwu.

Otóż właśnie: w takim rozumieniu, „Mozart” to byłaby nazwa wyjątkowego, bardzo rzadkiego daru, talentu, zdolności. „Mozart” – czyli esencjonalna kumulacja tak często punktowanych i celebrowanych cech jego tworzenia: lekkość, łatwość, improwizacyjna swoboda. To także podkreślany wielokrotnie przez jego współczesnych fakt, że muzyka jakby „spływała na niego”, że komponował on z dziecięcą łatwością, jakby od niechcenia. Jednakże istota syndromu „Mozart” leży chyba gdzie indziej. Polega być może na tym osobliwym darze kreacji z niczego, na tej tak łatwo dostrzegalnej – i niepodobnej do innych – euforycznej radości tworzenia, bezinteresownej, liczącej się tylko z prawami sztuki chęci ekspresji, wypowiedzenia się. Przy takim przeformułowaniu zasugerowane podobieństwa „Mozarta” do Messiego nie wydają się już chyba tak bardzo naciągane...

4.

Powróćmy do punktu wyjścia. Czy zatem Leo Messi jest największym piłkarzem w dziejach? Z wrodzoną nieśmiałością, ale i niezmaconą pewnością, twierdzę, że tak. Choć boleśnie świadom jestem, że wszelkie porównania w tej nieporównywalnej materii z góry skazane są na niepowodzenie. Jak porównać di Stefano czy Cruyffa z Messim? Inne czasy, inni piłkarze, inny futbol. Bo to, że Maradonę z Messim da się porównywać i wyciągać jednoznaczne wnioski, to już wiemy. Ale tu, oprócz subiektywnych przekonań i gustów, wchodzi w grę często narodowe sentymenty (w Argentynie Messi uchodzi bardziej za Katalończyka niż krajana). Ważne: w tym wyróżnieniu Messiego nie chodzi o dramatyczną różnicę klas, on jest – co trzeba podkreślić – równiejszy pośród równych, prawdziwy *primus inter pares*. Wraz z „wywyższeniem” Messiego nie dokonuje się tym samym „poniżenie” pozostałych. Wszyscy ci wielcy piłkarze grali, co oczywiste, na poziomie stratosferycznym. Argumenty przeważające szalę na korzyść Messiego byłyby trzy: ciągły balans na granicy niemożliwego; stopniowa, gołym okiem widoczna

progresja w grze (zagadka: jak geniusz może być jeszcze bardziej genialny?); futbol jako „poważna zabawa”, sztuka piłkarska podszyta bezinteresowną radością czerpaną z gry. Jak się okazuje, taki opis fenomenu Messiego nie jest tylko subiektywnym urojeniem. Również i ci, którzy w piłce osiągnęli niemało, w zetknięciu z jego grą doznają zawrotu głowy. Nie przypadkiem chyba Gary Lineker, angielski napastnik, który ma przecież pewne pojęcie o piłce (dzięki niemu polscy piłkarze również), mówi z niejakim żalem: „Patrząc na niego, a on robi w każdym meczu przynajmniej trzy albo cztery takie rzeczy, których mnie się nie udało zrobić przez całą moją karierę”. A Terry Venables, były trener Barcelony i reprezentacji Anglii, dodaje: „To, co on robi, jest niemożliwe”.

O wielkości Messiego nie świadczy tylko liczba strzelonych już (i w przyszłości) goli ani ilość zdobytych trofeów. Myli się więc mocno wielki Pelé, obsadzany przez lata na królewskim tronie, kiedy pytany o Messiego (Króla Lwa) w kontekście ewentualnej detronizacji, odpowiada z gryzącym sarkazmem: „Jeśli strzeli, tak jak ja, 1283 gole i zdobędzie 3 tytuły mistrza świata, to wtedy pogadamy” („Le Monde”). Słabość tego rozumowania jest przejmująca. Załóżmy najgorsze. Załóżmy, że Leo nigdy nie zbliży się do mitycznej sumy 1000 bramek, załóżmy też, że Argentyna z Messim znowu zawiedzie w nadchodzących brazylijskich mistrzostwach i tak upragniony tytuł mistrza świata znowu odjedzie mu sprzed nosa. I co? To znaczy, że wszystko to, co Messi zrobił w futbolu i dla futbolu przez te ostatnie kilka lat, stanie się nic nieznaczącym piłkarsko epizodem? Przesną się liczyć jego mistrzostwa klubowe, fenomenalne bramki, hat-tricki niemal na zawołanie, finezyjne podania, porywające rajdy? A geniusz Messiego przepadnie w otchłani zapomnienia? Mocno wątpliwe, żeby nie powiedzieć – groteskowo bałamutne to myślenie.

Dlatego też tak nudne i męczące zdają mi się futurologiczne dysputy monomaniaków skupione wokół tego, czy Messi zdobędzie wraz z Argentyną upragniony Puchar Świata. Jakby cokolwiek od tego zależało. Nie tylko zdobytymi tytułami da się odmierzyć piłkarski kunszt. A piłkarskiego geniuszu zmierzyć się nie da żadną miarą. Nawiasem mówiąc, czy koniecznie trzeba przypominać, że w piłkę gra się (na ogół) w 11? Że choćby Messi, jak to się nieraz zdarzało, w pojedynkę potrafił wygrać mecz, to jednak czasem też drużyna musi mu pomóc? I że bywały już w historii drużyny naszpikowane zawodnikami wielkiej klasy – laboratoryjny i traumatyczny casus Hiszpanii – które latami niczego nie potrafiły zdobyć? Czy to znaczy, że wielcy piłkarze w nich grający pozbawieni byli umiejętności, które im przypisywano?

Dajmy więc spokój jałowym dywagacjom i powróćmy na murawę, *zu den Sachen selbst*. Spójrzmy po prostu raz jeszcze na grę Leo Messiego. Ale nie jak starzy

wyjadacze ligowych i pucharowych boisk, znawcy taktyk wszelakich i meczowych strategii. Porzućmy mózgowie kryteria i liczbowe parametry. Zamieńmy się na chwilę w dzieci i popatrzmy bezinteresownie na to, co z piłką wyczynia Messi. Podążajmy za jego drobnymi krokami, naśladzajmy się boiskową inteligencją, wirtuozerią kolejnych zdobytych bramek. Bo czucie (gry) i wiara (w realność cudu) więcej tu znaczą niż piłkarskich mędrców szkiełka i oczy. A kiedy już poddamy się bez oporu tej hipnotycznej lekcji, kiedy pójdziemy bez trwogi za głosem niemej fascynacji, wtedy dopiero przejrzymy na oczy, wtedy zobaczymy prawdziwe dzieło sztuki autorstwa piłkarza genialnego, a w nagrodę ukaże się nam istota istotnie istniejąca i prawda nas wyzwoli.

„Na tym polega właśnie niewytłumaczalność i tajemniczość geniuszu, że na podobieństwo różdżki odkrywającej utajone źródła, tylko tam «pragnie», gdzie obiekt «pragnienia» istnieje rzeczywiście.” (Søren Kierkegaard).

„Jakże zagadkowa jest muzyka Mozarta! [...] Fakt ten nie przestaje nas intrygować: nie umiemy go wyjaśnić ani zrozumieć” (Nicolaus Harnoncourt).

„Fenomenu Messiego nie da się wyjaśnić, trzeba go podziwiać” (Pep Guardiola).

Tak, właśnie tak.

Literatura:

Caioli Luca, *Messi. Historia chłopca, który stał się legendą*, przeł. B. Bardadyn, Kraków 2011.

Ghosh Bobby, *Lionel Messi's Final Goal*, „Time”, 6.02.2012.

Harnoncourt Nicolaus, *Dialog muzyczny. Rozważania o Monteverdim, Bachu i Mozarcie*, przeł. M. Czajka, Warszawa 1999.

Kierkegaard Søren, *Stadia erotyki bezpośredniej, czyli erotyka muzyczna*, [w:] tegoż, *Albo-albo*, t. 1, przeł. J. Iwaszkiewicz, Warszawa 1982.

Mandelsztam Nadieżda, *Mozart i Salieri oraz inne szkice i listy*, wybór i przekład R. Przybylski, Warszawa 2000.

P.S. „W 1959 roku Pelé strzelił aż 75 bramek. Król futbolu zdobył wówczas 66 goli dla Santosu i dziewięć dla reprezentacji Brazylii. W sobotę, w wygranym przez Barcelonę wyjazdowym meczu z Deportivo La Coruna 5: 4, hat-trickiem popisał się Lionel Messi. Dla Argentyńczyka były to trafienia numer 69, 70 i 71 w bieżącym roku. Madrycka «Marca» nie ma wątpliwości, że Messi pobije rekord Pelégo”. (21.10.2012, Sport.pl)